

Koronakryzys

9 kwietnia 2020

Nie było wojny, nie zniszczono fabryk, nie zburzono domów. Kryzys, którego zaczynamy doświadczać, nie jest wynikiem załamania możliwości produkcyjnych naszej gospodarki, lecz tego, że przestaliśmy wydawać pieniądze. Siły wytwórcze nie zmniejszyły się – mamy w społeczeństwie tyle samo pracowników, co wcześniej, dostęp do takich samych maszyn i technologii, te same fabryki i tyle samo komputerów. Nie musimy niczego budować od nowa, nie potrzebujemy wyrzeczeń, pracy po dwanaście godzin dziennie ani zaciskania pasa.

To, co się wydarzyło można porównać do sytuacji, w której jedziemy rowerem i spada nam łańcuch. Nie możemy jechać dalej, ale nie dlatego, że zepsuły się hamulce, odpadło koło czy połamaliśmy nogi. Po prostu mechanizm, który przekładał pracę mięśni w ruch pojazdu, chwilowo nie działa. Łańcuch można nałożyć z powrotem, rower będzie jechał dalej. Z gospodarką jest podobnie.

Kryzys wziął się stąd, że przestaliśmy wydawać pieniądze. Zamknięto punkty usługowe, gastronomiczne, zamrożono turystykę, odwołano imprezy masowe. Biurowa klasa wyższa i średnia zaczęła pracować z domu i przestała wydawać pieniądze na zbytki. Popyt na usługi zniknął, a zamykane lokale zaczęły zwalniać pracowników, zatrudnianych zwykle na śmieciówkach. Pracownicy stracili źródło utrzymania i z konieczności ograniczyli wydatki do minimum, co doprowadziło do kolejnych zwolnień, bo wydatki jednych to dochody drugih. Nawet ci, którzy mieli odłożone pieniądze, zaczęli wydawać je ostrożniej, trzymając na czarną godzinę, która nie wiadomo kiedy wybije i jak będzie wyglądać. I choć każda z tych jednostkowych decyzji może być uzasadniona, to spoglądając z góry widzimy, że kryzys ma kształt błędnego koła. Porusza się spiralnym ruchem, który pogłębia problemy, które go wywołały i sam się napędza.

Właśnie dlatego wszelkie próby pokonania kryzysu za pomocą polityki cięć i ograniczeń – jak proponuje na przykład Grzegorz Hajdarowicz – są skazane na porażkę. Obcinanie świadczeń i zaciskanie pasa czy wstrzymanie wypłat 500+ to pomysły katastrofalne, bo prowadzące do jeszcze większego ubóstwa tych, którzy stracili pracę i kolejnego załamania popytu, a więc kolejnej fali bankructw i zwolnień. Kryzysu nie da się pokonać oszczędzając, bo to oszczędzanie jest jego przyczyną. Jeżeli chcemy przerwać to błędne koło, musimy przeciwstawić się logice cięć, uratować przed ubóstwem tych, którzy stracili pracę i sprawić żeby ludzie znów zaczęli wydawać pieniądze.

Jak znika pieniądź

Choć banknoty nie zniknęły magicznie z portfeli Polek i Polaków – wciąż jest ich tyle samo, ile było pół roku czy rok temu – to spirala zwolnień i zaciskania pasa sprawia, że gospodarka w czasach kryzysu funkcjonuje tak, jakby zabrakło w niej pieniędzy. Ograniczanie wydatków sprawia, że spada prędkość krążenia pieniądza, co daje taki sam efekt, jak gdyby część pieniędzy po prostu zniknęła. Dla obiegu gospodarczego nie ma żadnego znaczenia, ile fizycznie istnieje wydrukowanych pieniędzy w kieszeniach Polaków (czy cyfrowych na ich kontach) – znaczenie ma tylko to, jaka część z nich jest regularnie wydawana.

Jeżeli ktoś zakopał w ogrodzie skrzynię, a w niej sto miliardów złotych, to pieniądze te nie mają prawa mieć żadnego wpływu ani na gospodarkę, ani na inflację. Stanie się tak dopiero wtedy, kiedy je odkopie i zaczniemy wydawać, wejdą do obiegu i zainicjują tworzyć popyt na towary i usługi. W tym świetle to, co stało się w naszej gospodarce na przestrzeni ostatnich miesięcy można porównać do sytuacji, w której tysiące Polaków zakopałyby swoje oszczędności w ziemi – pieniądze tymczasowo zniknęły, bo przestały być wydawane.

Właśnie dlatego celem polityki antykryzysowej jest przywrócenie pieniędzy do obiegu, a narzędziem, którego możemy użyć, żeby osiągnąć ten cel – rozdanie gotówki tym, którzy stracili pracę i nie mają za co żyć. Będziemy mieć pewność, że wydadzą pieniądze, a nie schowają ich na czarną godzinę, a ich wydatki zaczną odwracać trend zaciskania pasa. Zwiększony popyt na usługi i towary nie tylko zniechęci do zwalniania, ale i doprowadzi do przywrócenia do pracy niektórych z tych, którzy pracę stracili. Pracownicy, którzy odzyskają miejsca pracy, wydadzą dochody, których przedtem nie mieli, tworząc tym samym nowe miejsca pracy. Właśnie dlatego kolejne kraje myśląc o lekarstwach na kryzys gospodarczy, rozważają wprowadzanie różnych form bezwarunkowego dochodu podstawowego. Rozdawanie pieniędzy – przede wszystkim tym, którzy na pewno je wydadzą – ma sens w sytuacji, w której jesteśmy, bo kryzys, którego doświadczamy, nie wziął się ze spadku możliwości wytwórczych gospodarki (nie zbombardowano fabryk, nie przestały działać komputery czy telefony), lecz z zaburzenia procesu krążenia pieniądza w gospodarce.

Musimy przy tym zmierzyć się z dwoma strachami, które przez dekady wpajali nam liberalni propagandyści, a które w ostatnich tygodniach nieustannie wracają w debacie publicznej – strachem przed inflacją i obawami dotyczącymi długu publicznego.

Czym jest inflacja?

Inflacja to nic innego jak średni wzrost cen dóbr i usług, które kupujemy każdego dnia. Powstaje w sytuacji, w której ilość pieniądza w obiegu rośnie szybciej, niż liczba towarów, które można za te pieniądze kupić. Co stanie się z inflacją, gdy za kilka miesięcy otworzymy szkoły, sklepy, restauracje i bary?

Będziemy mieli do czynienia z radykalną nierównowagą pomiędzy tymi dwoma sferami. Z dnia na dzień liczba usług i dóbr

dostępnych na rynku wzrośnie. Ilość wydawanych pieniędzy również wzrośnie, lecz w znacznie mniejszym stopniu. Pieniądze będą wydawać ci, którzy je mają, ale w wyniku zwolnień czy upadku części firm, setki tysięcy osób zostały trwale pozbawione źródła dochodu. Będziemy wtedy stali przed groźbą nie inflacji, a deflacji – a więc sytuacji, w której wartość pieniądza w czasie rośnie, a ceny towarów i usług spadają. I choć taka perspektywa może brzmieć kusząco – spadek cen to przecież powód do radości – deflacja sprzyja pogłębianiu się kryzysu, a nie wychodzeniu z niego. Po pierwsze, spadek cen usług to spadek płac tych, którzy te usługi wykonują, a więc spadek ich wydatków, a co za tym idzie powrót do błędnego koła kryzysu. Po drugie, deflacja spowalnia obieg pieniędzy w gospodarce, a inflacja – przyspiesza. Gdy mamy do czynienia z inflacją – wartość pieniądza spada o jeden, dwa czy pięć procent rocznie – nie opłaca się odraczać decyzji inwestycyjnych czy konsumpcyjnych, bo wiadomo że za te same artykuły w przyszłości zapłacimy więcej. W przypadku deflacji opłaca się czekać, inwestycje zrobić za rok czy dwa, bo wówczas będą tańsze. Tym samym przez rok czy dwa pozostawić bez pracy osoby, które moglibyśmy zatrudnić. Właśnie dlatego inflacja – na poziomie kilku procent – jest celem, do którego powinniśmy dążyć wychodząc z kryzysu, a nie obawą. Obawiać należy się deflacji, która nadejdzie, gdy zakończą się ograniczenia związane ze stanem pandemii.

Straszenie Polek i Polaków hiperinflacją w sytuacji, w której jesteśmy, mówienie o tym, że gdy rozdamy pieniądze najbardziej pokrzywdzonym przez kryzys, to za miesiąc chleb będzie kosztował 20 tysięcy złotych – jest niezrozumieniem tego, jak działa gospodarka i skąd wziął się kryzys. W obecnej chwili obawy przed hiperinflacją są równie uzasadnione, co obawy o to, że mamy za dużo łóżek szpitalnych, które będą stały puste.

Skąd się bierze dług publiczny?

Drugim strachem, który zaszczepili nam liberalni eksperci, jest strach przed rosnącym długiem publicznym. Wbrew temu, co czasem sugerują, nie da się zjeść chleba, którego jeszcze nie upieczono. Istnienie długu publicznego nie oznacza więc, że żyjemy ponad stan, na kredyt, który spłacać będą przyszłe pokolenia. Każda wydana złotówka, nawet ta na kredyt, odpowiada dobrom, które zostały wyprodukowane i już istnieją. Dług publiczny nie jest zobowiązaniem ponadczasowym, a wyłącznie kwestią dystrybucji dóbr tu i teraz.

Strach przed długiem publicznym bierze się stąd, że zwykliśmy patrzeć na państwo jak na gospodarstwo domowe, które podejmuje nieodpowiedzialne decyzje i regularnie wydaje więcej niż zarabia. Ale w tym uproszczonym spojrzeniu jest luka – na co to państwo-gospodarstwo domowe wydaje pieniądze i u kogo właściwie jest zadłużone? Odwróćmy tę logikę. Państwo nie jest zadłużone tak, jak gospodarstwo domowe, które żyje ponad stan. Jest zadłużone, bo postanowiło ograniczyć swoje dochody dla celów politycznych – czy to ze strachu przed odpływem części wyborców, czy przed medialną propagandą, które to media zaskakująco często pozostają w posiadaniu drobnej garstki milionerów.

Dług publiczny nie jest zjawiskiem ekonomicznym, lecz tworem politycznym, który pozwala najbogatszym raz jeszcze powiększyć swój majątek. Mechanizm jest bardzo prosty – te same pieniądze, które państwo mogłoby pobrać w formie podatków, ostatecznie i tak uzyskuje, zaciągając dług publiczny – fakt że da się to zrobić, oznacza, że te pieniądze istnieją. Dług publiczny zaciąga się poprzez emisję obligacji skarbu państwa, które później są kupowane przez indywidualnych inwestorów, fundusze inwestycyjne czy korporacje. Płacimy więc najbogatszym – bo to ich stać na kupowanie obligacji skarbu państwa – za to, że łaskawie pożyczą pieniądze, których państwo nie ściągnęło od nich w formie podatków.

Niedofinansowana służba zdrowia, głodowe pensje nauczycieli czy ratowników medycznych to wynik tego, że państwo pozwoliło Kulczykom i Solorzom-Żakom uciec ze swoimi majątkami do rajów podatkowych, albo sztuczkami księgowymi opodatkować się w mniejszym stopniu niż opodatkowany jest przeciętny pracownik na minimalnej krajowej. Później pożyczyło od nich pieniądze, których zabrakło w budżecie, płacąc im – przy pomocy moich i twoich podatków – za możliwość tymczasowego skorzystania z ich majątku.

Ani hiperinflacja, ani kryzys zadłużeniowy, nie są realnymi zagrożeniami, których musimy się obawiać w 2020 roku. Stoimy przed załamaniem, które powstało w wyniku radykalnego spowolnienia obiegu pieniądza w gospodarce, właśnie dlatego wyjściem z sytuacji jest przyspieszenie jego obiegu, a nie propozycje „ekspertów” w rodzaju Hajdarowicza czy projektantów Tarczy Antykryzysowej, sprowadzające się do zrobienia z polskich pracowników – niewolników pracujących po kilkanaście godzin dziennie.

Autorstwo: Hubert Walczyński

Źródło: [NowyObywatel.pl](https://nowyobywatel.pl)